

STADO JELENI W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

Z wiosennych dni.

Na głuszce w Białowieży

Cudne są łowy jesienne w różnobarwnej kniei, gdy gon ogarów napełni ostępy, cudne są łowy na rozlewiskach wiosennych rzek, gdy łódź sunie bez szelestu śród szuwarów, majestatyczną jest srebrzysta knieja zimowa — ale najwięcej rozkoszy daje nam pieśń głuszca w budzącym się do życia borze, w dziewiczym sercu puszczy.

Dn. 24/8 kwietnia, p. Minister rolnictwa — Janicki podejmował gości cudzoziemskich na głuszcowych tokach w białowieskich kniejach. Mając zaszczyt należeć do grona 10 myśliwych, którzy w wiosennej puszczy spędzili te kilka rajskich dni, pragnę choć w paru słowach podzielić się z czytelnikami przeżytemi wrażeniami.

Czar głuszcowych podsłuchów, poezja leśnych ognisk, tajemniczość pogrążonych we śnie ostępów, cud świtu w puszczy i przebudzenie się uśmiechniętej przyrody do nowego życia — wszystko to upaja, odurza, zachwyca.

I niesie nas na skrzydłach swych czarująca pieśń leśnego trubadura przez bezdenne topiele, grzązkie błota i mszary wilgotne, pod tajemniczą, rozśpiewaną, a mroczną sosnę, na której zasiadł król boru.

Lecz nietylko łowiecką rozkosz, cenne trofea i poetyczne przeżycia wynieśli z Białowieży uczestnicy łowów. Opuścili oni gościnny pałac z głębokiem przekonaniem, że stosunki łowieckie i leśne uległy znacznej poprawie, że głosy prasy fachowej, brzmiące bardzo pesymistycznie, były zbyt beznadziejne.

W puszczy dużo jest zwierzyny, a zarząd wielkie czyni wysiłki, aby jej należytą zapewnić opiekę.

W tym roku przeszło sto kogutów głuszców, miłosną pieśnią budziło senny las. A ileż puszcza liczy w swoich głębiach kogutów, które nie śpiewały? Jeleni i sarn dużo. Dzików sporo wyginęło wskutek ostrej zimy.

Jak nas poinformował p. dyr. Miklaszewski, dyr. departamentu leśnego M. R. i D. P., niezrównany i przemiły towarzysz naszych uciech myśliwskich — w najbliższej przyszłości zostaną sprowadzone do Białowieży żubry. Opieka nad niemi będzie zapewniona. Zwierz królewski powróci do swojej królewskiej kolebki. Najwspanialszy pomnik polskiej przyrody nie zaginie w Polsce niepodległej.

* * *

Na uroczysku leśnem czarną nocą siedzę przy ognisku. Fontanny iskier — żywych gwiazd — tryskają ku niebu, na którem bledną gwiazdy, umarłe iskry.

Z czarnej głębi boru odzywa się złowrogie hukanie puhacza.

Lecz oto głos jakiś tajemniczy rozlega się na dalekich błotach. To klangor witających północ żórawi...

Z przemokniętych butów i ubrań unosi się para. Leśnik dorzucając drew opowiada o głuszcu którego zasadził poprzedniego wieczoru. Słuchając tej opowieści i nocnych głosów puszczy, upajam się pierwotnym, dzikim życiem leśnego królestwa. A potem przychodzi czas, by ruszyć w puszczę.

Idziemy rozmokłemi ścieżkami, idziemy błotnemi drożkami i puszczą wilgotną i mszarem. Stajemy wreszcie bez ruchu, by zamienić się w słuch.

Cisza — tylko łopot serc słychać. Jest godzina druga i pół. Ale w ciszy tej drży pierwsze przeczucie przedświtu, już tu i owdzie rozebrzmi chrapnięcie słonki lub głos baranka pod chmurami, albo świst skrzydeł rozkochanych krzyżówek, dążących na leśną topiel.

I oto nagle rozbrzmiewa ów wyśniony i wyczekiwany głos, ów umiłowany i ponad wszystko rozkoszny zew miłości, na który serce nasze łopotać poczyna coraz potężniej, a krew tętni mu do wtóru.

W miarę pieśni głuszcowej w takt „szlifowania“ zbliżać się zaczynam ku sośnie nieznanej, której korona kryje me szczęście i radość.

Czasem, w pół kroku wstrzymać się muszę, czasem, bojąc się, by nie spłoszyć czujnego ptaka, długi czas w wodzie w pół skoku stać trzeba tracąc równowagę — czasem głuszec przerywa pieśń, a wówczas cały pierwotny niepokój dzikiego łowcy chwyta nas za gardło, każe nam wstrzymać oddech i łopot serca i grę krwi.

Strzał jest tylko koroną, ale i bez niego czarowne jest to polowanie w śpiącym lesie—pod miłosną pieśnią, w sercu puszczy.

Ujrzałem czarną sylwetkę ptaka. Po strzale runął, jak piorunem rażony. A mnie radość dzika zalała duszę, radość przemożna, radość, którą zna cała przyroda łowiectwem żyjąca, a której zrozumieć nie może tylko człowiek od tej przyrody daleki.

* * *

W Białowieży łowy trwały dwa poranki. Zabiliśmy 8 kogutów-głuszców i 2 słonki. Dwa głuszce miał na rozkładzie red. Stefan Krzywoszewski p. Janicki (syn) — 1 głuszca i 2 słonki; Minister duński Arnstedt, amerykański attache mjr. Moore, p. Stan. Lilpop p. Włodz. Korsak i ja — po jednym głuszcu.

Lecz, prócz tych trofeów, zdobyliśmy w Białowieży skarby rozkosznych wspomnień, wyzłoconych łuną leśnych ognisk, pachnących żywiczną wonią boru, rozbrzmiewających tajemniczą pieśnią głuszcową.

Na rozlewach wiosennych Prypeci

Nie zdołałem jeszcze po łowieckich wrażeniach z Białowieży pogrążyć się w szarą pracę dnia codziennego, a już znów błogosławiony myśliwski głos dalekich błot Polesia wyrwał mię z murów miejskich, przepełnił nadzieją, pociągnął urocznym głosem na odległe Kresy, na bezmierne rozlewy błękitnej Prypeci, gdzie danem mi było powitać przed paru dniami przebudzenie się wiosny.

Z p. Włodz. Korsakiem, p. Malczewskim i gen. Kuczewskim przez Łuniniec i Łachwę dojechaliśmy do Kożangródka koleją, drezyną i końmi, by siąść na łodzie i Cną a potem Prypecią dążyć do kaczego raju na łowy.

Cudna jest Prypeć w wiosenne rano, gdy uśmiechnięty świat barwi jej wody różowo na wschodzie, a modry fjolet przesyca zachodnie tonie wielkiej rzeki. W złotych szuwarach słychać tajemniczy głos bąka. Dzikich kaczek gwarne zaloty przepełniają śniące we mgle oczerety. Jakieś świsty, poświsty dobiegają z przemglonej dali. Łysek miłosne głosy brzmią z kęp kwitnącej wikliny—złotej, w złotym blasku wschodzącego dnia.

Cicho sunie łódź i cicho zaczaja się w trzcinach. Puszczamy z łodzi „Krekuchę“ — oswojoną i zaprawioną do łowu Krzyżówkę, która w ciszę poranku posyła swoje miłosne wołanie.

Rozkoszny to sposób polowania, na Kresach Wschodnich powszechnie znany, dający myśliwemu cudne przeżycia na wielkich wodach w wielkiej chwili budzącego się dnia i budzącej się wiosny.

Odzew z dalekich trzcin dolata, miłosny odzew Kaczora o złotozielonej szyi.

Ostry świst skrzydeł. Ponad łozami szybkim lotem śmiga namiętny kochanek. Strzał bucha z zaczajonej łodzi. Ptak pada w kępę wikliny.

I znów czekanie. Słońce poczyna złotem przesycać różaność wód. Błękit i fjolet rozbłyska ogniem poranku. Lekki wiaterek muska niebieską toń wody. Kaczka woła namiętnie nowych kochanków na miłowanie, na śmierć.

Błyskawicznym lotem zbliża się cyranka. Strzelec mój poczyna ją wabić. Czujny ptak zoczył podstęp. Oddala się równie szybko jak przybył.

Łódź nasza po jakimś czasie wypływa z ukrycia — zbieramy zabite ptaki i płyniemy dalej po nowe wrażenia, po nowe rozkosze.

Czy nocowałeś kiedy, czytelniku miły, na pińskich błotach w zadymionym kureniu? Czy spędzałeś noc pod gwiezdną kopułą nieba na gwiezdnej

rzece pełnej tajemniczych szmerów i głosów? Czy w zdradliwej „duszegubce“ kołysałeś się na falach wzburzonych w zawiei i ulewie, gdy rozgniewana rzeka pragnęła ukarać myśliwego śmiałka, co świętokradzko zamącił jej wiosenną ciszę? Czyś błądził po morzu wielkich wód śród niezliczonych kęp kwitnącej wikliny? Jeżeli nie—czytelniku miły—to nie pojmiesz nigdy tego czaru, który duszą owłada na wspomnienie tych słodkich chwil śród błękitnych bezmiarów dobrej rzeki, i tych chwil groźnych — na rzece złej i gniewnej, i tych chwil radosnych — gdy łowiecka ochota rozpiera pierś, strzały grzmią, trzciny szumią, a ostry zapach wodorostów przepełnia powietrze...

Na wodzie wiosennej i wiosennie radosnej płyniemy w dal powrotną. Napęczniałe złotem pąki grzybieni uśmiechają się z pod wody. W jeden dzień zieleń ich rozzłociło słońce kwiecąc niebieske głębiny tysiącem gwiazd podwodnych.

Na łodzi łup myśliwski, kaczory — krzyżówki o złoto - zielonych szyjach z białym pierścieniem o modrych na skrzydłach lusterkach — i cyranki szmaragdem strojne, i podgorzałki — o rdzawych głowach i miedzianych piersiach—i cyraneczki klejnoty zielone — bronzem zdobne.

Mamy 97 sztuk razem.

Po burzy nocy ubiegłej po przemoknięciu i ziębnięciu na rozhukanej Prypeci żegna nas rajska rzeka uśmiechem słońca tak zalotnym—jakby nas skusić i oczarować chciała. Oczarowała zaś nas — ta czarodziejka poleska i rozmiłowała w sobie bez granic — a tęskne nasze wspomnienie długo jeszcze wracać będzie do modrych topieli nad któremi brzmi dzikich kaczek miłosny głos — o różanym świcie majowego poranku.

„Dzień Polski“.

Juljan Ejsmond.

„Sfery rządzące“ na drukowaną swego czasu bajkę Jul. Ejsmonda w № 4 naszego pisma nadesłały do Redakcji odpowiedź z Wydziału Prezydjalnego Min. Rolnictwa i D. P.

p. t.

Odpowiedź na interpelację

(Bajka myśliwska).

Gdy mi ofiarowano tekę
rolnictwa i państwowych dóbr,
otwarcie rzekę,
spłakałem się jak bóbr.
Bo to tyle roboty,
a same kłopoty...
Ciągłe skargi, żale,
że nawet moskale
lepiej rządzili,
gdy byli.
Taki już dziś modny prąd:
za wszystko złe winić rząd.
Delegacje, deputacje, posłuchania,
telegramy, telefony i podania
i codziennie
nieodmiennie
ten sam ton:
winien — „On“,
rząd...

W końcu, rzecz niepojęta,
z państwowych lasów zwierzęta
przyszły też.
A pierwszy przyszedł jeż.
Minister pyta: „Co panu brak?“
„E, nie... ja tylko tak...
Bo widzi pan, choć to wygodnie,
ale już dzisiaj niemodnie.
Czesać się mogę tylko na jeża,
więc jak Minister zamierza
temu zaradzić?“—„Mój panie,
to bardzo trudne zadanie,
bo nie sztuka
zabić kruka,
lecz uczesać jeża na gładko,
udawało mi się rzadko.
Pan wybaczy...“ I petenta
Minister skierował do referenta.

Następnie przyszła kaczka. Ma pretensję,
że choć chodziła na pensję
wciąż kaczy ma sposób chodzenia,
więc niema powodzenia
na balach...

A choć ją bierze ochota
nie tańczy shimmy ani foxtrotta.
Daremne były nauki mozoły.
„Ładne te państwowe szkoły“.

Łoś list napisał bardzo rozżalony.
Ma żal do Klempy, swej żony,
że ma grube, brzydkie nogi.
A przytem te poleskie drogi...
Ledwie jej kupi jedwabne pończochy,
wnet się drą. Stąd kwasy, fochy,
przykre pożycie. Ot, łosia dola marna.
„A jakie śliczne nóżki ma sarna...“.

Jeleń, gdy mu łania przyprawiła rogi
klnie się na swe leśne bogi,
iż za ten wypadek fatalny
Minister jest odpowiedzialny.
W wielką wpada irytację.
„z towarzyszami“ pisze więc interpelację
„Czy Ministrowi wiadomo? jak temu zaradzi,
że się łania źle prowadzi?“
Minister odpowiada
oczywiście,
że sprawę gruntownie zbada
osobiście.

Lis niezbyt młody już się dwukrotnie rozwodził.
Poczernił wąsy, trochę się odmłodził.
Ożenił się z sąsiadką młodą z bliskiej nory.
Początek był cudowny. Zabawy, amory.
Lis był zachwycony, nie myślał o jutrze.
Aż raz rzecze małżonka: „Wiesz co, że w tem [futrze
już mi nie jest do twarzy.., kup mi inne...“
„Moja duszko, to przecież żądanie dziecinne“.
„Co? dziecinne? Już drugi rok to samo futro?
Muszę mieć inne i to zaraz, jutro.
Widziałam lisy niebieskie i srebrne —
właśnie takie mi potrzebne.
Ale ty mnie nie kochasz... O, ja nieszczęśliwa..“
Lis zdębiał. Lecz mu w porę chytra myśl [przybywa.
Wpadł na dowcip kapitalny.
„Ja bym się zgodził, lecz tu jest odpowiedzialny
Minister...“ „Co? znów on?“ „A, tak.
Już dawno wydał zarządzenie wszak,
że w Polsce wszystkie lisy czy tłuste, czy [chude,
stare czy młode — mają być rude.
Widzisz więc, najdroższa, stąd,
ja tu nie winien — taki mamy rząd“.

I tak dalej u zająca, u jelenia
wzbiera fala niezadowolenia.
Ciągle chcą mieć posłuchania,
przychodzą, piszą podania.

Sójka, podług obyczaju
wysiedzieć nie może w kraju,
wybiera się stale za morze,
a tu wyjechać nie może...
Bo tu sanacja,
tam waloryzacja.
Na cóż nam Rząd ten cały,
gdy paszporty tak zdrożały?

Najgorzej, gdy kto ma protekcję.
Gorzką Minister bierze wtedy lekcję.
Oto zwierzyny łownej ilość spora
uprosiła redaktora,
by Jego Ekscelencji
nagadał impertynencji.
Redaktor, że to głowa bystra
ułożył bajkę — na Ministra.

Tego już było zawiele.
Wnet odpowiedzi udzielę.
„Skoro parafja wasza taka niekontenta,
mam was... dosyć kochane zwierzęta.
Gdy dla was tu ramy zbyt ciasne,
miejcie Ministerstwo własne.
Niech z Ministerstwa od państwowych dóbr
wynosi mi się zaraz zając, dzik i bóbr.
Odtąd opieki szukajcie i praw
w Ministerstwie od Zwierzęcych Spraw.
A ministrem mianuję i protektorem
tego, co był waszym redaktorem.
Niechże najczulszą opiekę wam on da.
Ministrem waszym mianuję Ejsmonda.

ANONIMOWO NADESŁANE Z WYDZ.
PREZYDJALNEGO MINISTERSTWA
ROLNICTWA I DÓBR PAŃSTWOWYCH.

Regulamin I-ch Narodowych Zawodów Strzeleckich we Lwowie

17, 18 i 19 maja 1924 roku.

I. Uczestnictwo w Zawodach.

§ 1. Uczestniczą w Zawodach członkowie stowarzyszeń, które reprezentowane są w Komitecie Organizacyjnym Narodowych Zawodów Strzeleckich i przez te stowarzyszenia wyznaczeni. Ponadto uczestniczyć mają prawo członkowie innych stowarzyszeń strzeleckich i myśliwskich, jakoteż ogólnie sportowych oraz niestowarzyszeni. Niestowarzyszeni winni mieć ukończonych lat 17.

§ 2. Przed wzięciem udziału w Zawodach każdy zawodnik składa w biurze Komisji Zawodów zaświadczenie, wydane mu przez zarząd Stowarzyszenia lub oddział wojskowy, wpłaca wpisowe w kwocie 2 złotych i zaopatruje się w niniejszy regulamin, legitymację i potrzebne druki.

§ 3. Napisy na blankietach i papierach wypełniane są przez biuro Komisji Zawodów.

§ 4. Zawodnik, który z rozmysłu zapisze sobie inne strzały lub rezultaty na blankietach, lub będzie dawał informacje niezgodne z rzeczywistością, traci wszelkie prawa i zostaje usunięty od uczestnictwa w Zawodach.

II. Dzień otwarcia, rozpoczęcie i zamknięcie strzelania.

§ 5. Próbne strzelanie odbywać się będzie dnia 16 maja b. r. od godz. 8-ej. Zawody rozpoczną się d. 17 maja o godz. 9-ej rano i trwać będą codziennie 18 i 19 maja od godz. 8-ej rano.

§ 6. Otwarcie i zakończenie strzelania oznajmiane jest codziennie strzałem z moździerza. Na pięć minut przed tym sygnałem zawodnicy są uprzedzeni przez sygnał trąbką. Trzykrotny sygnał trąbką oznacza natychmiastowe przerwanie strzelania na wszystkich strzelnicach.

§ 7. Jeśli serja strzałów została przerwana przez sygnał — musi być ona ukończona po przerwie. Ważna serja jest o tyle, o ile było meldowane przerwanie serji i rozpoczęcie ponowne Komisarzowi, który robi na blankiecie odpowiednią notatkę.

III. Wejście na strzelnicę.

§ 8. Wejście na teren Zawodów jest dozwolone dla:

a) Osób zaproszonych;

b) członków Komitetu Organizacyjnego Narodowych Zawodów Strzeleckich;

c) członków Zarządów Głównych Towarzystw Organizacyjnych, którzy otrzymują stałe bilety wejścia bezpłatnie.

§ 9. Wszystkie osoby poza wymienionemi w § 8 opłacają bilety wejściowe w kwocie:

4 złotych za jednorazowe wejście — (bilety białe);

10 złotych na cały czas Zawodów — (bilety zielone).

§ 10. Zawodnicy legitymują się swemi zaświadczeniami, które są im wydane po opłaceniu wpisowego.

§ 11. Każda osoba znajdująca się na terenie Zawodów (wewnątrz ogrodzenia), obowiązana jest ściśle przestrzegać przepisów i regulaminu obowiązującego — pod karą usunięcia z terenu Zawodów.

§ 12. Wykluczenie bezapelacyjne może być nakazane przez Komisarza Zawodów każdej osobie, której czyny, zachowanie się i słowa są tej natury, że naruszają porządek ogólny.

§ 13. W wypadku nieporozumień, lub konieczności otrzymania wyjaśnień, osoby zainteresowane winny się zwracać do Komisarzy służbowych, urzędujących na strzelnicy, a posiadających biało-czerwone opaski na prawym ramieniu.

IV. Porządek strzelania.

§ 14. Porządek i kolejność zajmowania stanowisk ustala Komisja Zawodów według kolejności zapisów zawodników w biurze Komisji.

§ 15. Samowolnie, bez zezwolenia Komisarza Zawodów, zmieniać stanowisk ani też kolejności strzelania — niewolno. Jeśli na trzykrotne wezwania Komisarza służbowego do zajęcia stanowiska, zawodnik nie obejmuje go, naraża się na pozbawienie prawa brania dalszego udziału w Zawodach.

V. Pozycje strzeleckie — nabijanie broni.

§ 16. Warunkom, jakim podlegać winny pozycje strzeleckie są następujące:

Stojąca: ciało strzelca opiera się na obu nogach, bez żadnego innego podparcia.

Klęcząca: jedno kolano i obydwie stopy dotykają ziemi. Poza własnemi kończynami żadnych oparć używać nie wolno. Pod nogę można podłożyć miękką poduszkę.

Leżąca: zawodnik może się ułożyć w kierunku strzelania lub ukośnie na ziemi lub materacu pod warunkiem, że górna część tułowia będzie oparta na 2-ch łokciach i że przedramię będzie oddzielone od ziemi lub materaca.

Przy rewolwerach i pistoletach: ramię swobodne, ręka nie podparta.

§ 17. Przy strzelaniu z każdej broni długiej, chociażby automatycznej — ładuje się i strzela każdy nabój oddzielnie. Po oddaniu strzału zamek pozostaje otwartym. W żadnym wypadku nie może pozostać kurek odwiedziony. Wyjątek stanowią strzały podwójne z broni myśliwskiej (dublety).

§ 18. Każdy zawodnik nabija broń sam sobie i tylko na stanowisku.

VI. Wykonanie strzelania.

§ 19. Do dowolnej broni typu francuskiego, niem. i austr. naboje otrzymuje zawodnik w biurze Komisji Zawodów. Naboje do pistoletów, karabinków i strzelb myśliwskich zawodnik wykupuje w składnicy, zorganizowanej na strzelnicy, opłacając sumę uzgodnioną z Komitetem Organizacyjnym Narodowych Zawodów Strzeleckich.

§ 20. Strzelania nie wolno rozpocząć dopóki nie zostaną wręczone pisarzowi blankiety i dopóki ten nie odnotuje potrzebnych danych.

§ 21. Po oddaniu pierwszego strzału, w czasie trwania na stanowisku, zawodnikowi nie wolno czyścić swej broni, chłodzić i t. p.

§ 22. Przed ukończeniem serji nie wolno opuszczać stanowiska pod karą anulowania serji. Po ukończeniu serji strzelec może ustąpić miejsca innemu strzelcowi. W razie choroby lub wypadku rozstrzyga Komisarz służbowy.

§ 23. Jeżeli strzelec uważa, że serja jego była źle strzelana, może przed skończeniem lub po bezpośrednio skończeniu anulować ją jednorazowo, nim rozpocznie serję nową. Po rozpoczęciu nowej serji—w żadnym wypadku dawniejszej serji anulować nie wolno. Cofanie anulowań również miejsca mieć nie może.

§ 24. Każdy strzał oddany jest zaliczony chociażby był przypadkowy. W wypadkach wątpliwych rozstrzyga o strzale sędzia.

§ 25. Absolutnie wzbronionem jest zwracanie się do zawodnika w jakiejkolwiek sprawie podczas strzelania.

§ 26. Osoby, które nie strzelają, pod żadnym pozorem nie mogą znajdować się na stanowiskach, wyznaczonych dla strzelców.

§ 27. Zabronione jest pod karą wykluczenia z Zawodów:

a) strzelanie przed lub po sygnale otwarcia lub zakończenia;

b) chodzenie z bronią nabitą (przy karabinach z zamkniętym zamkiem) oraz lufą inaczej, jak skierowaną do góry;

c) ładowanie broni poza stanowiskiem i lufą skierowaną nie w stronę tarczy.

§ 28. Zawodnicy odpowiedzialni są za wszelkie wypadki, mogące się wydarzyć wskutek ich czynów lub niedbałości.

§ 29. Odwiedzanie tarczowni dozwolone jest wyłącznie za specjajnemi zezwoleniami Komisarza Zawodów.

VII. Broń — kontrola broni.

§ 30. Broni długiej typu francuskiego, poza przywiezioną przez zawodników, dostarcza Komitet Organizacyjny na strzelnicy wojskowej we Lwowie. Jest ona wypożyczana bezpłatnie.

§ 31. Każdy strzelec, stający do zawodów na broń długą dowolną, zwraca się do zbrojmistrza, okazując mu swą legitymację strzelecką i otrzymuje za pokwitowaniem karabin. Kwit jest zwracany strzelcowi przy oddawaniu broni zbrojmistrzowi. O ile strzelec chce zarezerwować sobie ten sam karabin na przeciąg dni kilku opłaca 2 złp. Zawodnik nie może broni przekazywać bezpośrednio innemu zawodnikowi.

§ 32. Po ukończeniu strzelania strzelec oddaje broń do zbrojmistrza, gdzie zostaje oczyszczoną.

§ 33. Do strzelania na broń dowolną, strzelcy mogą przywieźć broń własną i posługiwać się nią pod warunkiem, że zostanie skontrolowaną przez Komisję Zawodów.

AFRYKAŃSKIE ŁOWY.

Polowanie na hipopotamy.

(Dalszy ciąg).

Po kolacji, opatrzywszy broń i naboje ruszyliśmy każdy w swoją stronę. Z broni miałem przy sobie dubeltowy sztucer Sauera 8 mm. i tejże fabryki zwyczajną gładką dwunastkę, która jednak świetnie biła kulami. Posiadałem jeszcze coprawda i karabin Manlichera dużego kalibru, ale że zaczął ostatniemi czasy kaprysić przy wyrzucaniu patronów, musiałem go poniechać, gdyż w Afryce używanie niepewnej broni łatwo życiem przypłacić. Zresztą sztucer mój sporo górował, więc tam, gdzie spodziewałem się spotkać lwa lub lamparta wierzyłem więcej swej dubeltówce, stale w podobnych wypadkach nabitej kulami Dżakana. Wogóle bez porównania łatwiej jest zabić lwa lub lamparta, niż słonia, bawoła, nosorożca a nawet hipopotama, należy jednak pierwszym zaraz strzałem osadzić drapieżnika na miejscu, a drugim, o ile tego zajdzie potrzeba, dobić. W przeciwnym razie lew, nawet śmiertelnie raniony, rzuca się momentalnie na myśliwego, i wówczas już strzał staje się niepewny. Polując w Afryce trzeba mieć dużo zimnej krwi, pewną rękę, i prędko się orjentować w chwilach niebezpieczeństwa. W tym samym czasie kiedyśmy polowali w Abisynji, młody Grey, brat ówczesnego angielskiego ministra, polując z przyjaciółmi w Mombassa, zabiegł drogę ranionemu przez jednego z kolegów lwu, i strzelił doń dwukrotnie. Strzały były śmiertelne, jednak lew miał na tyle jeszcze siły, że rozszarpał Greya, nim towarzysze nadbiegli z pomocą.

Inny, bardzo ciekawy wypadek, opowiadał mi pewien młody anglik na statku wracającym do Europy. Anglik ten miał w Afryce fermę w której hodował owce i bawoły. Zdarzyło się kiedyś, że począł go nocami odwiedzać lew i zabierać mu najlepsze owce. Fermer postanowił urządzić nań zasadzkę i w pierwszą księżycową noc zasiadł na drzewie. niestety za nizko, opodal ścieżki którą zwykle lew przechodził. Zaledwie lew się ukazał, anglik dał dwa strzały; król zwierząt jednak dał olbrzymiego susa, chwycił człowieka zębami i pazurami, i ściągnął go na ziemię Anglik pamiętał jeszcze tylko, jak rękoma osłonił głowę przed paszczą lwa; poczem stracił przytomność. Kiedy się ocknął z omdlenia, lew leżał częściowo na nim, ale już martwy. Anglik był strasznie poraniony i wyzdrowiał cudem niemal. Pokazywał mi potem skórę tego lwa; był to wspaniały okaz z ogromną grzywą.

§ 34. Według zwyczaju, obowiązującego w zawodach strzeleckich—używanie broni źle utrzymanej, lub zanieczyszczonej jest zakazane.

§ 35. Broń przywieziona przez strzelców jest sprawdzana i musi odpowiadać następującym warunkom:

a) zapewniać bezpieczeństwo;
b) posiadać otwarte: celownik i muszkę;
c) być pozbawioną wszelkich szkieł optycznych;
d) mieć cyngiel, wytrzymujący ciężar minimum 2 kg. (dla broni kulowej).

§ 36. Każdy strzelec, który po skontrolowaniu poczyni jakiekolwiek zmiany w swej broni—zostanie bezwzględnie usunięty ze strzelnicy i pozbawiony wszelkich praw.

§ 37. Używanie pasa przy strzelbie jest dozwolone.

§ 38. Kontrola broni może być zawsze ponawiana podczas trwania Zawodów.

§ 39. Za wszelkie uszkodzenia broni z winy zawodnika, odpowiada on materjalnie osobiście.

VIII. Amunicja.

§ 40. Amunicję do broni myśliwskiej, pistoletów i małokalibrowej zawodnicy kupują w składnicy na strzelnicy według cen uzgodnionych z Komitetem Organizacyjnym Zawodów.

§ 41. Do broni dowolnej (prócz systemu francuskiego, niem. i austr.), broni myśliwskiej i karabinów, zawodnicy przywożą amunicję ze sobą: ulega ona również kontroli wraz z bronią.

§ 42. Łuski nabojów, dostarczonych przez Komitet Organizacyjny pod żadnym pozorem nie mogą być zabierane przez strzelców.

IX. Sposób wskazywania trafień.

§ 43. Regulamin wskazywania trafień znajduje się przy każdym stanowisku strzeleckim.

§ 44. Strzały są notowane na blankietach oraz w zeszycie pisarza (przez liczby równające się ilości punktów; przez zero +, wszystkim strzałom poza okręgiem przez zero —, poza tarczą).

§ 45. Gdy przestrzelona jest linja jednego z okręgów w tarczy — strzał zalicza się do punktów wyższych.

§ 46. Pożądanem jest, aby strzelec przed odebraniem swoich papierów od pisarza sprawdził zgodność własnego numeru, numeru stanowiska, numeru serji i ilości osiągniętych punktów.

X. Klasyfikacja.

§ 47. Rezultaty strzelania są wywieszane każdego dnia. Wszelkie spostrzeżone omyłki winny być bezzwłocznie meldowane służbie klasyfikującej.

§ 48. Sposoby obliczania oceny wskazane są w programach każdej kategorji strzelania. Jeżeli to jest możliwe — decyduje ilość osiągniętych punktów w wypadku równości decyduje: 1) największa ilość kul w tarczy; 2) w czarnym polu i 3) lepsze strzały.

§ 49. Po każdej serji kartony są zdejmowane z tarczy i dostarczane do kontroli, gdzie są przechowywane 24 godziny. W ciągu tego czasu przyjmowane są reklamacje, poczem kartony nie są utrzymywane do kontroli.

XI. Reklamacje.

§ 50. Książka zażaleń znajduje się w Biurze Komisji Zawodów.

§ 51. Wszystkie sprawy nieprzewidziane przez niniejszy regulamin są decydowane przez Komisję Zawodów.

Ponieważ Musu był niezdrów, wziąłem ze sobą Alego, któremu dałem do niesienia mój sztucer, sam zaś, wobec możności spotkania na drodze lwa lub lamparta, miałem nabitą kulami dubeltówkę. Oprócz tego u pasa przyczepiłem nagan „oficerski“, bijący nadzwyczaj celnie.

Noc była księżycowa i tak cudna, jaka bywa tylko pod równikiem. Widać było prawie równie dobrze jak u nas o zmierzchu w czasie ciągu słonek. Kiedyśmy mijali pierwszą sadzawkę nastraszył nas krokodyl, który prawie że z pod naszych nóg rzucił się do wody. Szliśmy więc ostrożniej i rozglądaliśmy się baczniej, ponieważ już przy następnej sadzawce była moja zasadzka. Byłem jednak przekonany, że hipopotamów jeszcze niema, tymczasem w chwili gdyśmy się pokazali z za zakrętu, z silnym pluskiem wody, cała bowiem niemal sadzawka chlusnęła na brzegi, wyskoczył z niej hipopotam. Odrazu rzuciło mi się w oczy nadzwyczajne podobieństwo ruchów tego zwierza, do ruchów dzika, a nawet zwykłej świni. Odbiegłszy parę kroków hipopotam stanął, a sapiąc i parskając jął się nam przyglądać. Zapomniawszy, że mam w ręku zwyczajną gładką broń, strzeliłem doń dwa razy celując w okolice serca, lecz on otrząsnął się z kul tych, jak dzik od kaczego śrutu, i truchtem ruszył ku nam. Chwyciłem od Alego mój sztucer, podbiegłem nieco naprzód, i stanąłem z hipopotamem oko w oko; nie mając chwili do stracenia, strzeliłem doń dwukrotnie, poczem odskoczyłem w bok. Ostrożność ta jednak już była zbyteczną, ponieważ hipopotam przerażony widocznie ogniem, który wydaje w nocy każda prawie broń, rzucił się w krzaki i wkrótce zniknął mi z oczu. Rozpacz moja nie miała granic. Byłem święcie przekonany, że po czterech wystrzałach, odgłos których rozszedł się daleko po puszczy, żaden zwierz już w tę stronę nie zajrzy. Powlokłem się więc do mej zasadzki, ale bez żadnej nadziei zabicia dzisiejszej nocy czegokolwiek, i jąłem rozmyślać nad dopiero co przeżytemi chwilami. Ale też nie wierzył już widocznie w powodzenie polowania, bo usiadł po turecku na ziemi i zaczął drzemać. Ja zaś nie mogłem sobie darować, że z większą ostrożnością nie podchodziłem do sadzawki i tak głupio wypuściłem hipopotama, którego ogromne kły bardzo mię nęciły. Przytem zdałem sobie dokładnie sprawę z tego że sztucer mój jest niestety za słaby na tak twarde zwierzę i że strzelanie w łeb, bez opancerzonych kul, których nie miałem, jest tylko marnowaniem prochu. Ile czasu przeszło mi na rozmyślaniach dokładnie nie wiem, ale napewno nie więcej nad dziesięć lub pietnaście minut, kiedy nagle usłyszałem sapanie, i wkrótce ujrzałem hipopotama idącego wprost na moją zasadzkę. Szeptem więc dałem znak Alemu żeby na wszelki wypadek odsłonił przejście, sam zaś z zapartym oddechem śledziłem zbliżają-

XII. **Wręczanie nagród**.

§ 52. Komitet Organizacyjny Narodowych Zawodów Strzeleckich przewidział dla każdej kategorji strzelania po kilka cennych nagród. Porządek tych nagród wyznaczony jest na strzelnicy łącznie z programem strzelania danej kategorji.

§ 53. Prócz nagród zwycięzcy strzelcy otrzymują dyplomy strzeleckie z uzyskanych tytułów o mistrzostwa: m. Lwowa i Polski. Wszyscy zawodnicy dostają wydane przez Komisję Zawodów zaświadczenie z podaniem rezultatów strzelania w poszczególnych kategorjach strzelania na Narodowych Zawodach Strzeleckich.

§ 54. Rozdanie nagród następuje po ukończeniu, Zawodów na zasadzie programu, podanego wcześniej do wiadomości ogólnej zawodników.

§ 55. Zmiany punktów regulaminu lub programu które nastąpić mogą tylko w wyjątkowych wypadkach, jak również inne sprawy, dotyczące zawodników — są wywieszone na strzelnicy.

CIETRZEW.

(*Dalszy ciąg*).

Gdy wrzosy stracą liście i cietrzewie zaczną całemi godzinami siadywać w nagich koronach, rozpoczyna się polowanie z bałwanami czyli cieniami.

Bałwany są to podobizny cietrzewia, zrobione z czarnego sukna, drzewa lub masy papierowej, albo też wypchane ptaki. Kształt bałwana powinien być taki, by wskazywał na zupełny spokój ptaka: szyja musi być krótka i wciągnięta (wyciągnięta oznacza czujność), wydatny garb na plecach, a postać cała zebrana w sobie i nastroszona.

Użyteczność bałwana na tem polowaniu oparta jest na towarzyskości cietrzewia i pochopności ich do łączenia się w coraz to większe stada. Bałwany przystawia się do drzew na wysokich tykach, czyli „bałwanicach“, których ostry koniec wkłada się w otwór na brzuchu bałwana i przywiązuje tego ostatniego sznurkiem, a to na wypadek szarży jastrzębia, uderzającego niekiedy na bałwana i porywającego go.

W miejscach, gdzie się cietrzewie trzymają, robi się budy, których ścianki mogą być od dołu słabo zakryte, ale zato muszą być gęsto tkane od góry, aby zasłonić siedzącego w budzie myśliwego od bystrych oczu nadlatujących ptaków. Sposób robienia budy znajdzie czytelnik przy opisie polowań na toku.

Buda taka robi wrażenie gęstego krzaku jałowca lub przysadzistego świerku i nie wzbudza żadnych podejrzeń w zwierzynie.

Budę robi się w miejscu stosunkowo otwartem i wywyższonem, tak, aby postawione w jej są-

---

cego się olbrzyma, który przy fantastycznym blasku księżyca wydawał mi się być jakimś przedpotopowym potworem. Hipopotam zbliżywszy się do nas o jakie pięćdziesiąt kroków, stanął parskając i węsząc: widocznie przeczuwał niebezpieczeństwo. W tej chwili spostrzegłem dwa inne hipopotamy idące na ukos ku nam z prawej strony (rzekę mieliśmy na lewo); te były znacznie mniejsze. Stanęły również o jakieś siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt kroków od zasadzki. Upłynęło parę minut, a ja nie mogłem się zdecydować, co mam robić. Pierwszy zwierz był bliższy i daleko większy, ale stał przodem do mnie, zatem strzał ze sztucera niewiele mógł mu zaszkodzić; dwa drugie stały bokiem z odsłoniętą komorą. Nie chcąc wypuścić większego hipopotama wyjąłem nagan, wziąłem na cel sam środek łba i pociągnąłem cyngiel. Rozległ się strzał, hipopotam zawrócił na miejscu i ruszył w stronę puszczy, znać było jednak po nim, że jest ranny. Wyskoczyłem natychmiast ze swej fortecy i ruszyłem za zwierzem, który znalazł się właśnie na otwartej polanie. Gdy dobiegłem doń o jakie pięć lub sześć kroków, hipopotam stanął i jął się do mnie odwracać chcąc widocznie przypuścić atak; korzystając z chwili dałem strzał z obu luf. Zwierz rzucił się w bok i pobiegł dalej, ja zaś w pędzie nabijając sztucer dogoniłem go po raz drugi. I znów powtórzyła się poprzednia scena. Hipotam czując mnie tuż za sobą stanął po raz drugi i dostał znów dwie kule w okolice serca. Nowa ucieczka potwora; nowa pogoń; jeszcze jedna próba ataku; i jeszcze dwie kule ze sztucera. Teraz jednak ruchy hipopotama stały się bardzo ociężałe, a dobiegłszy do płaskiego rowu który go oddzielał od krzaków i zarośli, nie mógł już się wygramolić na drugą stronę. Stanął więc zwrócony ku mnie przodem, a sapiąc i parskając rzucał mi wściekłe spojrzenia maleńkiemi, krwią nabiegłemi oczyma. Ale pogoń ta, tak mnie wyczerpała, że stojąc od hipopotama zaledwie o parę kroków, narazie byłem w stanie tylko mu się przyglądać, będąc zresztą zupełnie pewnym, że mi tym razem nie ujdzie. Po kąpieli i przy blasku księżyca skóra jego lśniła jak szmelcowana stal, a potworny łeb z ogromną paszczą i parą malutkich oczu, zajmujący przeszło trzecią część ciała, nadawał mu pozór jakiejś przedpotopowej bestji. Ale odrazu zwróciło moją uwagę to, że pomimo iż dostał on w bok sześć kul, krwi nie było na nim znać zupełnie. Widocznie skóra jego jest nie tylko gruba, ale i nadzwyczaj elastyczna, gdyż natychmiast rany zaciąga. Natomiast na łbie widziałem wyraźnie malutki otworek rewolwerowej kuli: zdołowałem o parę centymetrów i mózg nie został uszkodzony. Postanowiłem spróbować raz jeszcze; wyjąłem więc z pochwy nagan i strzeliłem w sam środek łba. Tym razem skutek był piorunujący: hipopotam zachwiał się, ukląkł najpierw na przednie

siedztwie przy drzwiach bałwany były zdaleka widoczne. Do drzew nizkich przystawia się, jak wyżej, bałwany zatknięte na „bałwanicach“, na wyższych zaś drzewach, którym czubka nie można dostać tyką, zawiesza się je zatknięte na grubszym końcu pałki zaopatrzonej w sęk o małym kącie rozwarcia, idący wprost w dół od bałwana. Tym sękiem zaczepia się pałkę o gałąź drzewa i bałwan zawisa.

W obydwu razach należy stawić bałwany tak, by się znajdowały w koronie drzew, blizko czubka; z tego wniosek, że, aby zawiesić bałwana na wysokiem drzewie, trzeba się nań wysoko po cienkich już gałęziach wdrapać, najlepiej więc mieć w tym celu zręcznego chłopaka wiejskiego.

Pozycja bałwana powinna być poprawna, a zatem nie może on być przekrzywiony na bok, ani pochylony w żadną stronę. Zwłaszcza trzeba zwracać baczną uwagę na to, by nie był pochylony ku przodowi, gdyż takie położenie zwiastuje gotowość do lotu i może wzbudzić nieufność w nadlatających ptakach.

Trzeba umieszczać bałwany umiejętnie, a więc tak, by je zdaleka było widać, a jednak nie na tych drzewach, na których spodziewa się myśliwy cietrzewi i chciałby aby siadły.

Polowanie rozpoczyna się zaraz po wschodzie słońca i może trwać dowolną ilość godzin. Można też zaczynać popołudniu, ale przy krótkich już dniach ma się wówczas mało czasu.

Potrzebni są do tego naganiacze w liczbie 1—4, aby napędzać cietrzewie w stronę budy. Najlepsi będą obznajmieni z okolicą gajowi, wprawni w tego rodzaju polowanie i umiejący odpowiednio zajść stado i pchnąć je w należytym kierunku. Dobrze eż aby mieli ze sobą psy, które innej zwierzynie nie zrobią już szkody w tej porze roku, a nieraz pomogą w wyszukaniu żerujących na ziemi cietrzewi.

Gdy się chce polować na większą skalę, w więcej strzelb, to na terenach stosunkowo suchych dobrze bywa mieć konnych naganiaczy, gdyż wówczas zapędzanie idzie daleko prędzej. Budy w takim razie należy robić nie bliżej niż o kilometr jedna od drugiej, a to z tej racji by wzajemnie sobie nie przeszkadzać, a przeciwnie pomagać, gdyż zdarza się, że stado, strzelone przy jednej budzie, leci do drugiej, a przyjęte i tam strzałami, wraca znów ku pierwszej.

Myśliwy, ustawiwszy bałwany (w liczbie 2—4 przy jednej budzie), zasiada w budzie i czeka, a naganiacz wyrusza z miejsca, gdzie cietrzewie właśnie żerują i zachodząc z przeciwnej strony płoszy je i zapędza w kierunku budy.

Zachowywać się w budzie można dość swobodnie. Jeżeli pokrycie jest gęste, to można się ruszać, palić a nawet w razie zimna, o ile buda obszerna, rozpalić mały ogień, gdyż cietrzewie nie boją się lekkiego dymu, wydobywającego się ze stożka gałęzi. Trzeba jednak siedząc zważać pilnie na okolicę, gdyż nieraz cietrzewie, zwłaszcza pojedyńcze, podlecą i siądą tak cicho, że nic posłyszeć nie można.

Przysiadając się do bałwanów ptaki wyciągają pilnie szyję w ich stronę przypatrując się nieruchomym sylwetkom, po chwili jednak, jeżeli wygląd domniemanych towarzyszy nie jest rażąco nienaturalny, uspakajają się i, o ile się ich nie spłoszy, spędzają nieraz przy budzie długie godziny.

Strzelać trzeba ładunkiem mocnym i śrótem 2,5 m.m., gdyż nieraz strzał bywa daleki i przez gałęzie. Bardzo dobrze jest mieć ze sobą w budzie małokalibrowy cicho bijący karabinek, gdyż wów-

---

kolana, potem na tylne i znieruchomiał. Później stwierdziłem, iż każdy z nich pada w ten sam sposób: żaden nie przewracał się na bok.

Przekonawszy się iż hipopotam nie żyje podeszłem do niego i z tryumfem usiadłem mu na karku. Radość moja była ogromna. Był to przecie mój pierwszy hipopotam, a w dodatku tak wspaniały okaz. Po paru chwilach spostrzegłem Alego; odważny ten strzelec skradał się ostrożnie z moją dubeltówką w ręku. Ujrzawszy jednak że siedzę na grzbiecie potwora, zbliżył się w podskokach i jął go zewsząd obchodzić, podziwiając jego wielkość i wspaniałe kły; potem zaczął mi winszować w różnych językach nazywając mię ciągle „wielkim myśliwym“ i zachwycając się odwagą białego człowieka.

Jest to ogólną cechą krajowych strzelców, że gdy tylko ujrzą którekolwiek z niebezpieczniejszych zwierząt momentalnie zmykają, lub włażą na drzewo, a zjawiają się dopiero gdy niebezpieczeństwo minie. O ile polowanie się udało, czarni okazują europejczykowi ogromne uznanie, nazywając go „wielkim panem“ i „wielkim myśliwym“, oraz obiecują solennie że na przyszłość uciekać nie będą i przy następnem polowaniu okażą czynną pomoc. Są to jednak czcze przechwałki i niech się tylko lew, bawół lub nosorożec ukaże, wnet następuje ucieczka. Na pomoc ich więc w razie groźnego spotkania liczyć nie należy, natomiast trzeba ich trzymać blizko przy sobie, by, o ile zajdzie potrzeba, zdążyć im odebrać zapasową broń. Są oni za to prawdziwymi mistrzami w orjentowaniu się w puszczy. Zdarzało mi się polując i zataczając przy tem koła i kręgi, oddalić się od obozu o 7 lub 10 kilometrów, kiedy słońce stało u szczytu nieba. Nie miałem pojęcia gdzie się obóz znajduje. Musu lub Alè, otrzymawszy odpowiedni rozkaz, odrazu obierał kierunek i szedł tak pewnie jak gajowy w swoim rewirze. Nie było wypadku żeby się omylił więcej niż o ćwierć kilometra, pomimo, że tak samo jak i ja, drogę tą odbywał po raz pierwszy w życiu.

Nie spodziewając się zabić coś jeszcze tej nocy powróciłem do obozu, pozostawiając na jutro rano wyjęcie kłów i pasów skóry na laski i bicze. Pana D. zastałem już w namiocie; nie udało mu się nic zabić, chociaż widział zdaleka przechodzące hipopotamy. Popijając herbatę opowiadałem mu o swych przygodach, a nie mając najmniejszej ochoty do snu zaproponowałem jeszcze jedną wyprawą, wspólną, w stronę z której tylko co powróciłem. Pan D. przystał chętnie i wyruszyliśmy niezwłocznie.

Bronisław Gordziałkowski.

D. c. n.

czas niegłośny trzask ładunku, szczególnie w mroźne dnie, nie płoszy siedzących cietrzewi i można wystrzelić kilka razy do jednego stada. Należy jednak w tym wypadku strzelać do siedzących najniżej, gdyż widok spadającego z góry ptaka zawsze zerwie stado do ucieczki.

Z wypadnięciem wielkich śniegów kończy się już polowanie z bałwanami, rozpoczyna się natomiast inne — z podjazdem.

Opiera się ono na tem, że cietrzewie żerują na drzewach liściastych, a w ciepło całe dnie tam spędzają i czarne ich sylwetki są zdaleka widoczne na tle liljoworudej koronki brzezinowych zagajów.

Najodpowiedniejsze są dnie ciepłe, odwilżowe, gdy śnieg pod płozami nie skrzypi, a ptaki siedzą na drzewach od wczesnego ranka do zmierzchu. Można wówczas polować cały dzień, najlepsze jednak będą zawsze godziny żeru, t. j. 8—10 rano i 2—4 popołudniu. Wówczas ptaki, zajęte jedzeniem mniej zwracają uwagi na sunące cicho sanki i niekiedy dają podjechać na kilkanaście kroków, zwłaszcza jeśli siedzą w bliskości drogi.

Nie należy nigdy jechać wprost na cietrzewie, ani wjeżdżać w środek szeroko rozsiadłego stada, lecz trzeba zajeżdżać bokiem, a jeśli ptaki popłoszone, to stopniowo, kołami. Jechać dość szybko, niby nie zwracając żadnej uwagi na siedzące ptaki, a także dobrze ukryć broń, którą stare, wytrawne sztuki znają wyśmienicie, mając wzrok doskonały, dojrzą zdaleka i salwują się zawczasu ucieczką.

Dojechawszy na możliwą metę trzeba zatrzymać nagle konia i szybko strzelać, podjeżdżanie wolne, z namysłem, wybieranie między drzewem dogodniejszej drogi — płoszy zwykle ptaki zawczasu, jako zbliżanie się celowe, podobne do skradania się.

W północnej Polsce można polować z podjazdem, aż do czasu, gdy głębokość śniegu stanie temu na przeszkodzie, w reszcie kraju może trwać całą zimę. Koniecznym jednak warunkiem jest, aby przed wypadnięciem śniegów były silne mrozy i aby błota dobrze zamarzły, inaczej przejazdy bez drogi, a nieraz po wertepach, rowach i bagnach bywają niemożliwe.

Pozatem i na północy można niekiedy podjeżdżać w czasie przedwiosennym, wówczas gdy na zwilgotniałym śniegu tworzy się od mrozu skorupa, utrzymująca z łatwością ciężar konia i sanek.

Wszelki jednak podjazd w czasie mrozu jest o wiele trudniejszy, gdyż śnieg skrzypi, a tego dźwięku ostrożna zwierzyna zawsze się boi. Pozatem stopień ostrożności cietrzewi zależy też bardzo od tego, czy ptaki są w danej okolicy płoszone i strzelane, czy też nie. Najłatwiej dopuszczają w miejscowości spokojnej, odludnej i cichej, gorzej już tam, gdzie np. przez roboty leśne częstą mają styczność z ludźmi i bywają przez nich niepokojone, a najtrudniej oczywiście tam, gdzie się na nie poluje, i gdzie są już ostrzelane.

Strzały bywają dalekie, trzeba więc mieć broń dobrą i strzelać mocnemi ładunkami śrótem hartowanym 3 m.m. Zarówno przy polowaniu z bałwanami, jak i z podjazdem należy pierwszeństwo oddać kogutom, oszczędzając wedle możności kury.

Jest jeszcze jedno zimowe polowanie na cietrzewie, coprawda rzadkie i możliwe tylko w niektórych północnych okolicach, obfitujących w głębokie śniegi.

Polega ono na tem, że ptaki nocują w jamach, wykopanych w śniegu, a w silne mrozy spędzają w nich całe dnie. Udając się na nocleg cietrzewie zwykle nie lecą daleko, a opuszczają się z żerowiska wprost na ziemię, tuż pod drzewami, albo o kilkadziesiąt kroków. Ma to miejsce o zachodzie, albo zaraz po zachodzie słońca.

D. c. n. *Włodzimierz Korsak.*

Z HODOWLI.

Hodowla zwierząt futerkowych w Ameryce.

W roku ubiegłym poruszałem na łamach pism fachowych sprawę hodowli dzikich zwierząt futerkowych, powołując się na istnienie tej niezmiernie ciekawej i wielce zyskownej gałęzi produkcji zwierzęcej w Ameryce. Obecnie, korzystając z materjałów, łaskawie nadesłanych przez nasze placówki konsularne oraz odnośne zrzeszenia, pragnę naszkicować obraz stanu tej nowej sztuki hodowlanej amerykańskich farmerów.

Zapoczątkowany przed czterdziestu-kilku laty na wyspie Księcia Edwarda chów lisów przez kilku farmerów i leśników, wyrósł obecnie do rozmiarów wielkiego przemysłu, zatrudniającego tysiące ludzi i przedstawiającego wartość kilkuset miljonów dolarów.

Przez dość długi okres czasu hodowla lisów w zagrodach nie mogła przekształcić się w zorganizowany przemysł, gdyż miała skierowaną przeciwko sobie zbyt wielką konkurencję kłusowników, którzy chwytając dzikie lisy w pułapki, nie mieli żadnych kosztów produkcji, a nadto zakłady hodowli lisów nie mogły pochwalić się jakością swego towaru. Obecnie czasy się zmieniły właśnie na korzyść hodowców. Stan zwierzyny, mimo ustaw ochronnych, zmniejsza się ustawicznie, popyt zaś na futerka wzrasta z roku na rok. Równocześnie zaś wskutek wieloletniej praktyki wydoskonaliła się sztuka hodowli lisów udomowionych i obecnie zakłady amerykańskie ustaliły cenne odmiany lisów, przewyższające dzikiego lisa jakością i regularnością maści (np. czarno-srebrny—black silver fox, niebieski i t. d.). To też w handlu obecnie najbardziej poszukiwane są wyżej wymienione gatunki futra lisa hodowanego. Pierwsi hodowcy lisów starali się początkowo zmonopolizować przemysł i zatrzymać posiadane wiado-

mości, tyczące chowu tych zwierząt, w zamkniętem kółku niewielkiej grupy osób wtajemniczonych. Wskutek powyższego ceny zarodowych szczeniąt gatunków ciemnych były niepomiernie wysokie. Z biegiem czasu jednak coraz więcej osób zaczęło się interesować nową gałęzią produkcji i obecnie istnieje mnóstwo farm, hodujących lisy i inne zwierzątka futerkowe. W Departamencie Rolnictwa Stan. Zjedn. Półn. Amer. zarejestrowano 255 farm trudniących się wychowem lisów srebrnych. Farmy te znajdują się w Stanach Michigan, Maine, Minnesota, New-Jork, Wisconsin, Pennsylwanja, Ohio, Washington; na 83 farmach hodują lisy niebieskie, czerwone i mieszane. Prócz tego w większości prowincji kanadyjskich istnieją hodowle tych zwierząt.

Powstały specjalne zrzeszenia hodowców lisów:

1) *American Fox Breeders Association*. George A. Brackett, Secretary, 227 Congres street, Boston Mass.

2) *National Silver Fox Breeders Ass ciation of America*, Wiliam Ryder, Sekretary, 204 Rosen Block, Muskegon, Michigan.

Organizacje powyższe mają na celu koordynowanie wysiłków poszczególnych hodowców i kierowanie hodowlą lisów stosownie do potrzeb rynków, czuwanie nad zdrowotnością materjału zarodowego, organizowanie odnośnych wystaw, premjowanie hodowców, prowadzenie ksiąg zarodowych zwierząt hodowanych przez swych członków, wydawnictwo literatury fachowej i t. d.

Rząd również ingeruje w tych sprawach: wprowadzono specjalne przepisy regulujące import lisów do chowu. Departament Rolnictwa wydaje podręczniki niezbędne do chowu zwierząt futerkowych; pracownie biologiczne tegoż Departamentu zatrudniają specjalistów, którzy prowadzą prace eksperymentalne z dziedziny biologji zwierzątek futerkowych i wytykają linje do przeszczepienia na grunt praktyczny rezultatów swych badań i spostrzeżeń i t. d. Nakładem Dep. Roln. wyszła w roku ubiegłym broszura *„Hodowla lisów srebrnych“ (Silver-fox farming)*, opracowana przez M-r Frank G. Ashbrook opisującą dość wyczerpująco sprawę hodowli lisów. Broszura zaopatrzona jest w szereg fotografji, planów, wzorów, okólników, budek i t. d. Nadto nakładem tegoż Departamentu wyszło w świat kilkanaście broszur, dotyczących hodowli innych zwierząt futerkowych, jak to: bobrów, kun, wyder, skunksów, oposów, wodnego szczura, tchórza i t. d. Zresztą w Ameryce obecnie istnieje cała literatura, poświęcona hodowli zwierząt futerkowych. Istnieje dziesięć pism perjodycznych, poświęconych wyłącznie tej gałęzi hodowli. Do najwytworniejszych należą: „The Black Fox Magazine“ (1400 Broodway, New-Jork), „American Fox and Fur farmer“, „The Fur Farmer Magazine“ i inne. Pisma te są bogato ilustrowane i wydawane na wytwornym kredowym papierze.

Prócz hodowli lisów powstają hodowle innych zwierząt futerkowych: bobrów, łasic, kun, tchórzów, piżmowców, oposów, szopów, skunksów, wiewiórek, wodnego szczura; krety są również z powodzeniem eksploatowane na futerka. Według danych Departamentu Rolnictwa, na terenie Stanów Zjedn. istnieje 130 farm trudniących się wychowem wymienionych zwierząt. O ile hodowla lisów ma już za sobą długą historję, o tyle chów innych zwierzątek futerkowych jest jeszcze w Ameryce w stadjum zapoczątkowania i na rynku futerkowym zajmuje dotychczas miejsce podrzędne. Pomimo to amerykańscy hodowcy mają nadzieję na znaczny rozwój tej nowej gałęzi hodowli i usilnie zajęli się tą sprawą.

Nie trzeba chyba dowodzić, iż kraj nasz zarówno pod względem fizjograficznym jak i klimatycznym posiada niezwykle korzystne warunki do rozwoju hodowli zwierząt futerkowych. Prócz tego posiadamy wielu miłośników, którzy chętnie poświęciliby się pracy w danym kierunku. Wśród naszych leśników nie brak tego typu hodowców, powracają również z Ameryki emigranci, którzy pracowali na lisich farmach i są obeznani z techniką tej hodowli. Więc potrzeba tylko inicjatywy i pewnych nakładów pieniężnych, które mam wrażenie nie pójdą na marne. Niemcy już w tym kierunku pracę prowadzą w austrjackim Tyrolu; czesi również zainteresowali się tą sprawą, czyż nasz kraj ma pozostać na końcu?

M. Trybulski.

DZIK.

(*Dokończenie*)

W tej chwili nadbiegli inni strzelcy i wspólnemi siłami dźwignięto gajowego na nogi. Wrzosek nie miał żadnej rany, był tylko mocno potłuczony i zawalany krwią dzika, urwał też zaraz garść trawy i mrucząc począł się nią wycierać.

— Uświnił człeka jak to nieboskie stworzynie. Podziękujcie Panu Bogu żeście cudem prawie ocaleli i powiedźcie mi panie dzieju, czemu to u licha nie poprawiliście mu z drugiej lufy?

— Spaliło—chciałem zmienić kapiszon, a on był tylko o pięć kroków i skoczył na mnie jak ten lucyper.

Odegnano rozżarte psy, które jeszcze chwytały za nogi i szczecinę nieżywego dzika.

W pobliżu na zielonych mchach leżały strasznie rozpłatane zwłoki dzielnego Burka. Myśliwi oglądali plac walki, obydwa trupy i ciekawie rozpytywali o szczegóły. Podczas utarczki psów z odyńcem szli wszyscy łańcuchem dość gęstym a jednak tragiczna scena wśród krzewów na małej polance, rozegrała się tak prędko, że niezdążyli w porę nadbiedz.

Najbliżej był pan Romuald, który zmierzał wprost na osaczonego dzika i miałby pierwszy strzał, gdyby go nie ubiegł gajowy. Chciwy strzału Wrzosek usły-

szawszy walkę dzika z psami tuż, wyrwał się z linji strzelców i niefortunnym, chociaż celnym strzałem uprzedził pana Romualda. Gdyby ratunek ze strony pułkownika był o dwie sekundy spóźniony, Wrzosek swą chciwość przypłaciłby życiem.

Upolowany odyniec był to okaz nielada: pan Romuald określał jego wagę conajmniej na 800 funtów. Podziwiano wielkie kły, wystające z dolnej szczęki, ostre i wygięte, dla tego zwane przez myśliwych „szablami", oraz górne o wiele krótsze, zakrzywione równolegle do tamtych, a nazwane w gwarze „toczydłami" albo osełkami", gdyż dzik przez tarcie o nie swych szabel wygładza boki zewnętrzne, aż do płakiej powierzchni z ostrym kantem.

Przy badaniu skutku strzałów, czynności zgoła medyczno sądowej, przy której najgorliwszym anatomem bywa zwykle myśliwy ubiegający się o opinję sprawcy morderstwa, okazało się, że kula gajowego przebiła czaszkę lecz nie uszkodziła mózgu, dopiero kula z „dziwerówki" pułkownika sprawiła piorunujący skutek. Znaleziono na zwierzu rany dawne ropiejące i wstrętne, znaleziono i świeże.

— Patrzcie pośladek ma skaleczony, pewnie to zasługa rewizora, a tu znów postrzał w brzuch—mówił pułkownik.—Kto strzelał do niego z boku?

— Do boku ja strzelałem, ale ja na komorę mierzył — odezwał się skromnie Uchański.

— Chybiłeś panie dzieju na komorę, ale za to przebiłeś mu trzewia, rana była śmiertelna choć mógł z nią jeszcze kilka godzin pożyć. Dzięki temu postrzałowi mamy go teraz. Czemu żeś pan u licha praw swoich nie dowodził gdy zasługę przypisywał sobie rewizor?

— Nie śmiałem — rewizor gotów był się gniewać i czepiać potem...

— Bał się stakanczyka, panie dzieju! Takich strachajłów mamy coprawda więcej. Stara prawda—jak w bajce Krasickiego o zającu i żabach, możecie tylko w godnościach małą zmianę wprowadzić—sens będzie ten sam: każdy dzik ma swego rewizora, którego się boi a każdy rewizor ma swego dzika—przed którym umyka.

Władowano odyńca na wóz, myśliwi obsiedli drabiny i „ekspedycja karna" opuściła dolinkę.

Na polance zostały tylko szczątki odważnego Burka—ot zwykła psia dola: służy, wiernie człowiekowi, nie lękał się groźnego wroga, zginął chwalebnie, a teraz nikczemne ptactwo ucztę sobie z niego wyprawi.

Myśliwi zadowoleni z odniesionego zwycięstwa wracali do domu w przewybornych humorach.

Tymczasem słońce coraz bardziej się zniżało, jakgdyby Boski Zwierzchnik chciał złocisty medaljon niebios zawiesić na piersiach pracowitej ziemi. Skowronki już śpiewały przedwieczorną kołysankę dla swego drobiazgu ukrytego w zbożach, kośnicy przestali osełkami pobrząkiwać o kosy i obcierali je z zielonego miąższu traw, a dziewczęta w czerwonych chustkach i spódnicach, hoże i barwne jak kwiaty rozrzucone na rozległym zielonym tle, dograbiały ostatnich pokosów pachnącej koniczyny, stawiały ją w misterne ostro zakończone kuczki, niby szeregi małych chochlików i zawodziły piosenkę co płynęła tęskna długo — bez końca...

Tam po majowy rosie,
Jasio koniki pasie...

Na drodze zatrajkotał wóz na nim młodzi panowie ze strzelbami, za wozem psy. Piosenka się urwała. Niejedna spojrzała, wierzchem dłoni odgarnęła chusteczkę i włosy, błysnęły niejedne oczy, roześmiały się usta, a piersi wzniosły ku górze drżeniem niedawnych wspomnień lub świeżych pragnień.

— Z polowania jadom—ciekawość ile zajączów ustrzeliły.

— Idź głupia, tera pany na zajunce nie polują, jeno dzikiego wiepsza chciały pono zabić.

— Akurat! Pany jak nimajo dzika albo siarny to w byle co strzylają. —U nich zawdy tak: kiej nima panny Marjanny dobra i Maryśka. Mój Boże...

Przodownica na widok psów i wspomnienie zająca poderwała zaraz odpowiednią piosneczkę.

Po zieluny łące
Gonił pies zające,
Dogonił samicki
Oberwał jej c...

Zajunc i (jej) się pyta:
— Gdzieś c... podziała?
— Oberwał mi je pies
Kiedym uciekała

Ledwie przebrzmiała ta wesoła i skoczna piosenka, a już ochoczej przodownicy widać inna myśl przyszła, bo wnet na świeże rosy wpłynął śpiew żałośliwy o biednej Kasi co nie chciała ulec zalotom pana:

Tam u młynarza dolnygo-dolnygo,
Jest tam Kasia u nigo...

— Proszę pana — proszę pana! — mówił coraz mocniejszym głosem lokaj z serwetą pod pachą i wstrząsał obwisłym ramieniem śpiącego — proszę pana!

— Nu—czewo?

— Wszyscy panowie czekają przy kolacji na pana rowizora!

— Czekają? Tak poco czekają — mogą jeść—jaż im nie bronię.

— Kiedy właśnie panowie chcą wypić zdrowie pana rewizora.

— Wypić powiadasz? — rewizor opuścił nogi na posadzkę i usiadł na łóżku, — wypić — co za łaska...

— Bo to niby według tego polowania—objaśnił z chytrym uśmiechem lokaj — tylko, że panowie nie kazali mówić.

— Co za racja, przecie nam polowanie się nie udało.

— Panowie nie kazali mówić, tylko prosili żeby pan rewizor zaraz przyszedł — to pan zobaczy...

— Aha! To znaczy, że pewnie ja był praw!

Iwan Gilarjewicz podniósł się i przeciągnął.

— Co już wieczór? Zadrzemał ja trochę, co prawda tamtą noc grało się w winta.—Nu dobrze—zaraz idę, muszę tylko nieco toaletę poprawić.

W kilkanaście minut później otworzyły się szeroko główne drzwi pałacu i do przedsionka wkroczył Stakanczyk.

Wkroczył i stanął.

Zdumiał się choć czuł jakąś przyjemną niespodziankę. Na posadzce przy schodach wejściowych prowadzących do jadalni, w poprzek chodnika leżał ogromny dzik z pół otwartą paszczą, z której sterczały niegroźne już teraz szable, a na błyszczącą

posadzkę z podziurawionego łba sączyły się resztki niezastygłej farby.

— Wot kakoj! Nu, panowie — czyja teraz racja? Spasibo tobie Iwan Gilarjewicz! — rzekł sam do siebie.

Na schodach zda się niebyło nikogo, gdyby jednak rewizor podniósł głowę i bacznie przejrzał rozstawione na podeście laurowe krzewy, dojrzałby między listkami ciekawie obserwujące go młode oczy.

Potężny zwierz, który przed kilku godzinami napełniał go trwogą leżał teraz bezwładny u jego nóg. Wobec takiego upokorzenia nieprzyjaciela w Iwana Gilarjewicza wstąpił duch Rzymianina-zwycięzcy: postawił więc stopę na łbie wroga, chwilę tak postał, a potem wkroczył na schody dumnie niczem triumfator na Forum Romanum—Zdało mu się, że wchodzi teraz na rostrum, aby tłumowi rzec: poszedłem—strzeliłem — i leży...

Młodzież patrząca zgóry dusiła się od śmiechu, lecz gdy Stakanczyk przekraczał próg jadalni — wszystko już było w porządku, każdy siedział na swojem miejscu i przed każdym stał pełen kieliszek wina jak również przed zastawą oczekującą na niego.

Gdy zbliżył się z łaskawym uśmiechem powstano z kieliszkami w ręku — spodziewał się tego, lewą ręką pogładził brodę, a prawą zrobił majestatyczny ruch ku dołowi.

— Siadajcie panowie—nie stoit—drobnostka—wiadomo było...

— Czekaliśmy na pana z toastem — odezwał się dziedzic—wznoszono inne zdrowia należy i pańskie. Niechże pan rewizor siada—wódz dzisiejszego polowania chce nam coś powiedzieć.

Stakanczyk usiadł — inni zajęli również miejsca, powstał tylko pan Romuald chrząknął i przemówił:

— Panie rewizorze — Iwanie Gilarjewiczu! Niegdyś Artemis — bogini łowiectwa, rozgniewana na króla Eneasza, nasłała strasznego odyńca na pola Kalidonu i ów niszczył wszelkie urodzaje, aż wreszcie nieustraszeni myśliwcy udali się aby go zabić. I oto stało się, że sławny późniejszy bohater-Nestor, którego męstwo sam Homer opiewał, wyląkł się zwierza tak, że aż na dębie szukał schronienia, a potwornego dzika raniła słaba białogłowa: Królewna Atalanta. Starożytny ten przykład niech pana, panie dzieju, upewni, że nie poczytujemy mu za złe przezornego salwowania życia na kupie kamieni, ani też nie uważamy za jedyną zasługę śmiertelne zranienie dzika przez tego oto, wystraszonego zawsze Uchańskiego, przychylnie natomiast oceniliśmy pańskie strzały, zdarza się bowiem często, że kula skierowana na głowę wroga znajdzie się w jego pośladku, co oczywiście ujmę tylko postrzelonemu przynosi. Bohaterską pańską kulę znaleźliśmy u dzika w szynce a więc szynka ta musi stać się własnością pańską w niej bowiem całe powiatowe miasto widzieć będzie niezbity dowód sukcesów łowieckich pana. Wznoszę więc panie dzieju zdrowie naszego rewizora i pogromcy dzików.

Stakanczyk słuchał z początku ciekawie, potem z przykrem zdziwieniem, dopiero na wzmiankę o szynce, która będzie jego własnością uśmiechnął się życzliwie i o dziwo, podniósł do góry kieliszek z winem.

Uchański zaś w drugim końcu stołu dobrze już rozweselony szeptał do najbliższego sąsiada:

— Tak, mniejsza panie o zasługę, ale w tem radość, że i taki moskal ma swego dzika przed którym umyka!

Jan Szczepkowski.

PRZEGLĄD PRASY MYŚLIWSKIEJ.

Kwietniowy zeszyt lwoskiego *„Łowca“* przynosi ciekawy artykuł inż A. Ebenbergera p. t. „To i owo o słomkach“ w którym autor zastanawia się nad zagadnieniem „czem słomka chrapie?“ I na zasadzie ciekawych spostrzeżeń szweda dr. Backmana i Arwida Knöppela twierdzi, iż słomka chrapie... kuperkiem. Chrapanie obserwowanych słomek „wytwarzało się jakby bezgłośnie w szyi, przechodziło w gwałtownych, konwulsyjno-falistych ruchach przez pierś i brzuszek ku kuperkowi, a dawało się słyszeć wyraźnie wydobywając się z kiszeczki odchodowej“.

Pożądanem byłoby aby i myśliwi polscy dorzucili do tego garść swoich spostrzeżeń wyświetlając powyższe zagadnienie.

„Łowiec Polski“ w kwietniowym numerze daje interesujący artykuł J. Sztolcmana p. t. „Strzelanie sarn śrótem na nagankach“ polemizujący z pomieszczonym swego czasu u nas artykułem Wł. Janty-Połczyńskiego pod tym samym tytułem (№ 4). W konkluzji p. Sztolcman pisze: „Jeśli nasi koledzy myśliwi polują z nagankami na rogacze, to zwolnijmy ich od zarzutu praktykowania rzezi i strzeżmy się od porównywania ich z kłusownikami“. P. Sztolcman twierdzi, że strzelanie sarn śrótem na nagance nie sprzeciwia się etyce myśliwskiej.

Najciekawszem studjum w „Łowcu“ jest niewątpliwie świetna praca B. Świętorzeckiego — o głuszcu. Dodatnim objawem jest pojawienie się jednoczesne tej interesującej pracy z drukowaniem w „Przegl. Myśl. i Łowiectwie Polskiem“ pierwszego studjum o cietrzewiu pióra Korsaka.

W „Przeglądzie literatury“ p. Domaniewski pisząc o myśliwskim numerze „Świata“ zapytuje czemu przypisać fakt iż nie omówiono tam w dziale stowarzyszeń łowieckich ani Polskiego Tow. Łow. w Warszawie, ani dość obszernie Centrali Warszawskiej. Otóż winę tego ponoszą całkowicie powyższe stowarzyszenia, do których redakcja „Świata“ kilkakrotnie zwracała się z prośbą o wzmiankę. Nie jest więc winą redakcji, że Polski Związek Myśliwych prośbę jej w przeciwieństwie do Warszawskiego Towarzystwa wypełnił.

Z zajmujących się myślistwem i rybactwem pism niełowieckich podkreślić należy dział *„Rolnika“* lwowskiego świetnie prowadzony przez dr. Sandera. W numerze kwietniowym autor zajmuje się ochroną kuropatw i radzi z początkiem kwietnia zganiać je z miejsc, w których kury nie

będą mogły wysiedzić jaj, a zwłaszcza z łąk ulegających powodziom. Gniazda należy odszukiwać w kotlinach przy pomocy karnego legawca i oznaczać je palikami, aby nie uległy zniszczeniu przy koszeniu. Dr. Sander zaleca zakładanie stałych remiz śród pól. Lepiej jest mieć na każdych 100 morgach jedną choćby tylko jednomorgową remizę, niż na ogólnej przestrzeni 1000 morgowego rewiru tylko jedną ale 10 morgową.

Numer „Rolnika" z 13 kwietnia podaje ciekawy artykuł J. Kamińskiego p. t. „Krótki rys o zarybianiu stawów i sadzawek".

Myśliwskim zagadnieniom poświęca również miejsce „*Polski Drób*". W № 7 — 8 za kwiecień w „Głosach z praktyki znajdujemy pożyteczne wskazówki o posłaniu dla psów. P. M. T. radzi zbić z czterech na kant postawionych desek ramę, która utworzy podstawę posłania. Wierzch ramy obijamy dobrze naciągniętym brezentem lub inną mocną tkaniną, np. płótnem żaglowym i posłanie gotowe. Jest ono czyste, łatwo je wyszczotkować i wymyć, drewniane boki można wydezynfekować, skutkiem czego zapobiega się pasorzytom.

Z pism codziennych niestety mało które zajmuje się łowiectwem. W „Dniu polskim" (№ 71) znajdujemy dobry artykuł p. Stefana Sobieszczańskiego „W obronie kota i kury". Nieścisłą jest tylko wzmiankowana na początku powyższego artykułu pogłoska jakoby Ministerstwo Rolnictwa zamierzało ujednostajnić czas ochronny dla zwierzyny na całym obszarze Rzeczypospolitej. Projekt podobny nigdy nie istniał, gdyż Ministerstwo świetnie zdaje sobie sprawę z uzależnienia czasu ochronnego od zmian klimatycznych tak różnych na obszarze Polski.

„Dzień Polski" wprowadził w ostatnich czasach stałą rubrykę myśliwską p. t. „Z lasu i pola".

Jul. Ejsmond.

RYBOŁÓWSTWO.

Rybactwo a dostęp do morza.

Często słyszę o „dostępie do morza", jak o czemś nie budzącem wątpliwości — już przez Polskę zdobytem i stałem. Zastanawiałem się nad tem czy jest korzystnem i wskazanem w ten sposób uświadamiać ogół o potrzebie dla naszego kraju uzyskania dostępu do morza.

Bo wbrew temu co zwykle słyszymy — twierdzę: Polska niema dostępu do morza. Nie dlatego, że naturalna i najbardziej dogodna polska droga jest dotąd zakorkowana przez wrogi dla Polski — Gdańsk — bo przecież musimy mieć niezłomne przekonanie, że ta droga w polskim musi być i będzie ręku. Pomimo to twierdzę, że Polska dostępu do morza niema, bo mieć dostęp do morza nie znaczy mieć zetknięcie się terytorjum państwa ze słoną wodą morską, lecz znaczy — panować nad morzem, znaczy ciągnąć z morza wszystkie korzyści jakie ono dać może.

Polska nietylko niema tak zrozumianego dostępu do morza, lecz nie ukształtowała dotąd dokładnego poglądu na te sprawy, nie ułożyła mocarstwowego programu polityki morskiej jako wyrazu swych zamiarow i woli. Najlepszym tego świadectwem jest rozbieżność w dyskusji co do portu i obrona aż 4 portów wtedy gdy stać nas na 1 tylko. Wszystko co w tym zakresie już zrobiono i robi się dalej płynie nie ze zbiorowej świadomości i woli społeczeństwa, lecz niemal wyłącznie z ducha ofiarnej pracy grona osób, którzy z wyjątkową energją przełamują obojętność i zrodzone nią trudności.

Wobec tego właśnie sądzę, że nie jest wskazanem usypiać jeszcze bardziej czujność społeczeństwa mówiąc o dostępie do morza, jak o czemś dokonanem, bo przecie dostęp ten z wielkim nakładem sił i energji dopiero zdobyć należy.

Trzeba raczej dzwonić na alarm i głośno wołać, celem uświadomienia każdego Polaka: „Polska dotąd niema dostępu do morza — więc musimy go zdobyć, Polska niema polityki morskiej — więc musimy ją stworzyć, do Polski nie dochodzi odżywczy wiatr od morza — więc musimy pójść mu na spotkanie".

Ten wiatr od morza musi mieć w sobie tajemnicze cząstki słonego powietrza morskiego, któremi powinna przesiąknąć nasza lądowa natura polska, żeby módz nietylko zrozumieć, lecz odczuć, tak jak organizm odczuwa potrzebę oddychania, niezbędność dostępu do morza, do rozkoszowania się zagadnieniami polityki morskiej.

Trzy są podstawowe zagadnienia polityki morskiej: sprawa portów, sprawa marynarki, sprawa ludności nadmorskiej. Jedynie rozwiązanie wszystkich tych zagadnień doprowadzi do uzyskania dostępu do morza i opanowania go. Tylko wówczas gdy Polska będzie uskuteczniać wymianę towarów z zagranicą w polskich portach, polskimi okrętami za pomocą własnego aparatu handlowo - transportowego, pod ochroną polskiej floty wojennej — tylko wówczas będziemy mieli prawo mówić: Polska ma dostęp do morza. Lecz jednym z przemożnych czynników kształtujących życie portowe, jak też decydujących o istnieniu i rozwoju marynarki jak handlowej tak i wojennej — jest miejscowa stała ludność nadmorska chowająca we krwi żywioł morski.

Z tego co zaznaczyłem i z tego co dalej rozwinę wynika, że sprawa rybactwa morskiego posiada dla Polski wyjątkowe znaczenie. Bo wszak rybacy morscy są narazie główną, a częstą jedyną stałą ludnością nadmorską, z której będzie się czerpał materjał dla marynarki i dla rozwoju życia portowego.

Rybactwo morskie jest jedyną rzeczą w zakresie dostępu do morza, którą Polska już ma, z której korzysta, którą szczęśliwym obrotem dziejów odziedziczyła po niepodległej Polsce.

Kwestja utrzymania i rozwoju stałej ludności nadmorskiej, silnej ekonomicznie i związanej mocno z państwowością danego kraju — posiada pierwszorzędne znaczenie dla każdego państwa, myślącego o dostępie do morza i posiadającego politykę morską. Dla Polski ta kwestja posiada o wiele większe znaczenie, niż dla każdego innego kraju. Polska bowiem ma najmniejszą ze wszystkich państw nad Bałtykiem linję wybrzeża morskiego — zaledwie 24 kilometry — bez półwyspu Helskiego, z nim razem zaś 60 kilometrów

Polska musi zawsze liczyć się z przykrą ewentualnością niemieckiego zalewu wybrzeża morskiego, jak też całego korytarza morskiego na czas krótszy czy dłuższy. W tym wypadku pozycji tej nie obroni ani silna flota wojenna, ani fortyfikacje, ani — tembardziej — zastępy kuracjuszów i letników. Tylko miejscowa, odwiecznie zżyta z tym szarym brzegiem bałtyckim, małomówna, lecz twarda ludność kaszubska rybacka wytrwa, jak wytrwała dotąd. Ona będzie tym niezwyciężonym dowodem polskości naszego morza i na niej się skruszy potęga przejściowego zalewu.

Lecz też jeżeli dla żywotności Polski niezbędnem będzie myśleć o rozszerzeniu fizycznej podstawy dostępu do morza, jaką jest długość linji wybrzeża morskiego, to znowu należy pamiętać, że po obu stronach polskich granic—stałą ludnością nadmorską jest ludność rybacka, przeważnie kaszubska, choć zniemczona, lecz której niemczyzna jeszcze głęboko nie sięgła w naturę.

Ale nietylko względy polityczne, oraz względy bezpieczeństwa Państwa od strony morza przemawiają za znaczeniem sprawy rybackiej—w równej mierze są niemi względy gospodarcze.

Port handlowy w Gdyni jest dopiero w zaczątku; pojedyńcze okręty pod banderą polską — nie stanowią jeszcze marynarki, której rozwoju dopiero po stworzeniu własnego portu oczekiwać można. Marynarka wojenna posiada w obecnym stanie jedynie znaczenie wychowawcze, oraz reprezentacyjne. Obecnie więc, jak już zaznaczyłem, rybactwo pozostaje jedynym realnym objawem naszego bytowania morskiego, ono utrzymuje prąd życia nad morzem bez przerwy, bez załamania się, nadając jednocześnie piętno polskości naszemu morzu. Również gdy się warunki zmienią, powstanie port i marynarka—co znowuż leży przedewszystkiem w interesie rybactwa, gdyż od tego rozwoju życia na wybrzeżu, jak wykażę później, zależy również rozwój rybactwa — zagadnienie rybactwa, jako zagadnienie stałej ludności nadmorskiej nie straci na znaczeniu, a tylko się uwypukli.

Doświadczenie wszystkich krajów nadmorskich i historja rozwoju marynarki wskazują, że normalny rozwój żeglugi i portów zaczyna się od t. zw. kabotażu, w którym przedsiębiorczy rybak, jako właściciel i rybacy, jako załoga, są codziennem zjawiskiem.

Niemniej ważnem jest bezpośrednie znaczenie rybołówstwa morskiego, jako stałego przemysłu ludowego, zatrudniającego całą ludność gmin przybrzeżnych, a mogącego dać Państwu do 5-ciu miljonów kilogramów ryby rocznie, dotąd mało jeszcze wykorzystanej. Żeby mieć miarę znaczenia ekonomicznego tej ilości ryby, gdyby ta była należycie wykorzystaną — należy nadmienić, że wszystkie gospodarstwa stawowe w Polsce, zajmujące przestrzeń około 50.000 hektarów, dają też blisko 5 miljonów klg. ryb.

Jakkolwiek połowy ryb na naszem wybrzeżu nie dadzą się prawdopodobnie ilościowo zwiększyć, to jednak w razie lepszego ich zużytkowania (stworzenie fabryki konserw rybnych, organizacja zbytu ryb do kraju)—zarobki rybaków morskich wzrosną i pozwolą im zaopatrzyć się w motory i większe kutry rybackie. Na tych większych statkach rybacy będą mogli żeglować w kierunku morza Północnego i brać udział narówni z niemcami, norwegami, szwedami i anglikami w połowach śledzi na bogatych w ryby terenach, na które wszyscy mają równe prawo dostępu.

Tylko tą drogą można zabezpieczyć trwały rozwój wybrzeża, stały dopływ wzbogacającego się i przedsiębiorczego elementu do przyszłych ośrodków życia na wybrzeżu i poprawnych marynarzy do polskiej marynarki.

Poszczególnymi zagadnieniami poruszonymi wyżej zajęte jest Ministerstwo Rolnictwa i D. P. (Wydział Rybactwa) na wybrzeżu posiada swój fachowy organ—Morski Urząd Rybacki.

Będę się starał poruszone powyżej zagadnienia gospodarcze rybactwa morskiego oraz stosunek rybactwa do danych dziedzin w dalszych artykułach szczegółowo przedstawić.

Józef Borowik.

Uchwały Konferencji Rybackiej

w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych w dn. 14.III 1924 r.

A) W sprawie działalności Zarządu Rybactwa.

Program i dotychczasowa działalność Ministerstwa Rolnictwa w zakresie rybactwa oraz stosunek do organizacyj rolniczych i samorządu przedstawiony w referacie p. Borowika „Zadania Rządu w zakresie rybactwa", nie wzbudzają żadnych zastrzeżeń i wymagają szerszego spopularyzowania wobec małego zrozumienia w Polsce znaczenia rybactwa morskiego i śródlądowego. Największą bolączką w zakresie rybactwa są: stałe zainteresowanie sprawami rybactwa ze strony społeczeństwa i niedostateczna działalność społeczna oraz brak reprezentacji ogólnopolskiej interesowanycb w rybactwie.

B) W zakresie utworzenia centralnej organizacji rybackiej, reprezentujacej interesy rybactwa śródlądowego.

1. W celu podniesienia rybactwa w kraju, winna powstać przy organizacjach społeczno-rolniczych centralna organizacja rybacka, będąca reprezentacją całokształtu rybactwa śródlądowego w Państwie Polskiem.

2. Celem przygotowania gruntu dla powstania tej organizacji, wyłania się z ramienia konferencji komisja 5-ciu w następującym składzie: prof. Staff — jako przedstawiciel Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, p. Dreczkowski — jako przedstawiciel Towarzystwa Rybackiego na województwo Poznańskie, przedstawiciele Związku Polskich Organizacyj Rolniczych i Polskiego Związku Organizacji i Kółek Rolniczych oraz p. Borowik — jako przedstawiciel Min. Roln. i D. P.

C) W sprawie zarybiania wód śródlądowych łososiem

Pożądanem jest, by Ministerstwo Rolnictwa i D. P. kontynuowało akcję zarybiania rzek łososiem; dotychczasowe wyniki tej akcji stanowią poważny krok naprzód w sprawie państwowego zarybiania i rokują na przyszłość wielkie powodzenie tej akcji.

D) W sprawie ochrony ryb.

Najbardziej pilną sprawą w rybactwie śródlądowem jest wprowadzenie ochrony ryb w czasie tarła i zabezpieczenia wód przed zbyt intensywną eksploatacją, przedewszystkiem drogą zwalczania kłusownictwa. Oprócz zarządzeń administracyjnych i wzmocnienia nadzoru należy rozwinąć energiczną akcję kulturalną, celem wzmocnienia poczucia własności i zrozumienia potrzeby zabiegów gospodarczych w tej dziedzinie.

E) W sprawie epizoocji w gospodarstwach rybackich.

Epizoocja, t. zw. „dżuma racza" rozszerza się na coraz nowe gospodarstwa stawowe, przyczyniając bardzo poważne straty. Należy rozpocząć energiczne badania natury choroby i prowadzić ścisłą rejestrację gospodarstw, przyczem pożądanem jest, by Ministerstwo Rolnictwa i D. P. szczególnie poparło akcję zwalczania tej epizoocji, prowadzonej przez Wydział Rybactwa C. T. R. i Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego.

F) W sprawie ulgowego wydzierżawienia państwowych terenów wodnych organizacjom rybackim dla wytwarzania narybku.

1. Pożądanem jest, by te tereny wodne, których właścicielem jest Państwo Polskie i które jednocześnie nadawałyby się dla rybackich organizacyj na wytwarzanie narybku, były bez przetargu publicznego i na ulgowych warunkach wydzierżawiane organizacjom rybackim.

2. Pożądanem jest by Ministerstwo Rolnictwa i D. P. za pomocą inspektorów rybackich powiadomiło organizacje rybackie jaknajwcześniej o zamierzonych przetargach na poszczególne państwowe tereny wodne i by czyniło ułatwienia tym organizacjom przy badaniu rzeczowych terenów.

G) W sprawie czasopisma „Rybak Polski".

1. Gwoli popularyzowania rybactwa w Polsce należy jaknajbardziej rozpowszechniać wydawnictwo miesięczne „Rybak Polski".

2. Obecni na konferencji proszą p. Kulmatyckiego o dalsze redagowanie „Rybaka Polskiego" i wyrażają ze swej strony chęć poparcia wydawnictwa drogą prenumeraty tego wydawnictwa lub współpracy w niem.

Sprawy bieżące.

Jeleń do sprzedania. Stow. Młodzieży Polskiej w Wolanowie zawiadamia, że posiada na sprzedaż pięknego jelenia. O informacje zgłaszać się należy do ks. St. Górskiego, poczta Radom, gm. Wolanów.

W sprawie pokarmu dla sztucznie hodowanych bażantów. P. Michał Nowakowski, leśniczy lasów prywatnych, przesyła nam list w sprawie uwag p. A. Szyby, w którym polemizuje z wywodami autora, zaznaczając, iż jest zawsze wdzięczny osobom kompetentnym za rzeczowe uwagi.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

W. P. Tanalski, Ozorków, (Nacz. Wydz. Pocztowego). Najserdeczniej dziękujemy za tak gorliwe popieranie naszego pisma.

Zarząd Lasów Kornickich, pow. sremski. Konkurs na skomponowanie czysto polskich sygnałów myśliwskich zamierzamy ogłosić. Niestety, nie wiadomo nam nic obecnie o nutach istniejących sygnałów, których dotąd ustalonych jeszcze nie posiadamy.

W. P. Roman K. Wieluń. (Wydział Hipoteczny). Wzmiankę Pańską zamieściliśmy w № 7.

W. P. Kaz. Antosiewicz. Łomża, ul. 3 Maja № 2 Radzilibyśmy sprawę o której Sz. Pan pisze skierować do Polskiego Zw. Myśliwych, Poznań, ul. Wały Leszczyńskiego 48.

Adm. Dóbr Łysów. — Z. Siedlecki. Obecnie nie posiadamy źródeł nabycia kuropatw. Skoro tylko dowiemy się — nieomieszkamy dać znać.

Od Administracji.

Administracja uprzejmie prosi wszystkich, nadsyłających ogłoszenia, o dokładne wskazywanie rozmiarów, ilokrotności ogłoszeń oraz równoczesne nadsyłanie należności p/g cen wzkazanych w każdym № pisma.

Administracja zawiadamia że № 1 i 2 z rb. jest zupełnie wyczerpany, zgłoszenia na te №№ nie mogą być uwzględnione,

Administracja zawiadamia, że ceny ogłoszeń na pierwszej i ostatniej stronie podnosi się o 50 proc.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński, Włodzimierz Korsak i Józef Gieysztor.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 we środy w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3a.

Redakcja i Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.

Numer pojed. — **0.60 gr.** mk. Prenumerata kwartalna (z odsył. do domu) — **3 zł.** mk.; Konto czekowe w P.K.O. № 7595.

Cena ogłoszeń: strona — **40 zł.**; 1/2 str. — **25 zł.**; 1/4 str. **15 zł.**; 1/8 str. — **8 zł.**; 1/16 **5 zł.** Cena pierwszej i ostatniej strony podnosi się o 50 proc.